# Świat Młodych

Nr 11 (17), 11 – 17 MAJ 1947
Cena 20 zł

„...My, wojsko demokracji polskiej, idąc od zwycięstwa do zwycięstwa, okryliśmy oręż polski niespotykaną chwałą. Zanieśliśmy nasze sztandary bojowe głęboko w ziemie wroga... Zbrojną stopą stanęliśmy w Berlinie...

(z meldunku, złożonego przez delegację I Armii Wojska Polskiego Krajowej Radzie Narodowej dnia 4 maja 1945 roku)

FOTO PIROTTE.

# MILIONOWE RZESZE OBCHODZĄ ŚWIĘTO 1 MAJA

*Premier Cyrankiewicz przemawia:*

*„W dniu 1 Maja demonstrujemy pod hasłem — niech żyje międzynarodowa współpraca całego ruchu robotniczego. Niech żyje międzynarodowa walka ludów przeciw nowej ofensywie imperializmu i reakcji, walka o pogłębienie i utrwalenie zdobyczy społecznych, walka o pokój.*
*W dniu 1 Maja ruch robotniczy na całym świecie demonstruje pod hasłem: Niech żyje socjalizm!"*

*FOTO J. JARACZEWSKI*

*Święto Majowe w całym kraju odbyło się w atmosferze absolutnego spokoju, powagi i pogodnego nastroju. Wszędzie las sztandarów — czerwonych, biało-czerwonych, tęczowych — towarzyszył maszerującym pochodom. Wszędzie w całym kraju demonstrowały rzesze robotnicze pod znakiem jedności proletariatu polskiego i jedności demokracji polskiej.*

# W DNIU 3-go MAJA

*Dolores Ibarruri przemawia:*

*„Myśli się ci, którzy wszczęli Warszawę, sądzili, że zniszczą duszę narodu polskiego. Nie ma siły, która potrafiłaby pokonać ducha i wolę narodu, który chce być wolnym. Robotnicy Warszawy! Gdy wrócę do swego kraju — do robotników hiszpańskich, będę mogła im powiedzieć, jak ciężka i krwawa była droga, która Was prowadziła do zwycięstwa i jak wielkie są wasze osiągnięcia".*

| | | |
|---|---|---|
| **Warszawa:** | **200.000** | **demonstrantów** |
| **Województwo szczecińskie:** | **500.000** | **demonstrantów** |
| **Wrocław:** | **90.000** | **demonstrantów** |
| **Łódź:** | **150.000** | **demonstrantów** |
| **Poznań:** | **100.000** | **demonstrantów** |
| **Olsztyn:** | **30.000** | **demonstrantów** |
| **Gniezno:** | **35.000** | **demonstrantów** |
| **Kielce:** | **15.000** | **demonstrantów** |
| **Rzeszów:** | **15.000** | **demonstrantów** |

**STANISŁAW STASZYC**

**HUGO KOŁŁĄTAJ**

oparcie walczył o równouprawnienie miast i mieszczan, którzy pod ucieczkiem, trwającym dwieście z górą lat pozbawieni byli wszelkich praw, oprócz prawa i obowiązku ciężkiej pracy wytwórczej na użytek szlachty i arystokracji.

walczy wytrwale o unowocześnienie przestarzałej formy rządu, oraz ustroju szkolnego i treści nauk. Dziś już niemal uległo zapomnieniu, że np. jego jest zasługą wprowadzenie nauki astronomii wedle teorii Kopernika na Uniwersytet Jagielloński po 250 latach jej istnienia i po 300 latach jej wykładania na uniwersytetach zagranicznych.

FOTO FILM POLSKI

Oddajemy hołd wielkim postępowym ideałom wychowawczym Kołłątaja, Staszyca, twórców Komisji Edukacji Narodowej, wielkich orędowników sprawy wyzwolenia z niewoli mas chłopskich i biedoty mieszczańskiej, wyzwolenia mas ludowych.

Rzetelnym, szczerym, najwłaściwszym wyrazem tego hołdu niechaj będzie nasza codzienna praca, nasz wielki ogólno narodowy wysiłek, aby przekuwać ich ideały społeczne i wychowawcze w oręż demokratycznych przemian społeczno-politycznych w Polsce dzisiejszej.

*Z przemówienia Prezydenta Bieruta, wygłoszonego przez radio w dniu 3 maja 1947 roku.*

Adam Włodek

# ZWYCIĘSTWO

Słowa o krew pełniejsze
pieśnią pokoju płyną.
Jak bukiecik zieleni i kwiatów
nad lufą karabinu.

Apel wolności. Brak milionów.
Śmierć ich zna tylko morderca.
Tylko ziemia, powietrze, ogień,
morze —
najgłębszą prawdę o nich wie.

Ożywiając milczeniem — nad ostatnim
poległym
pochylić się musi wiersz.

9 maja 1945

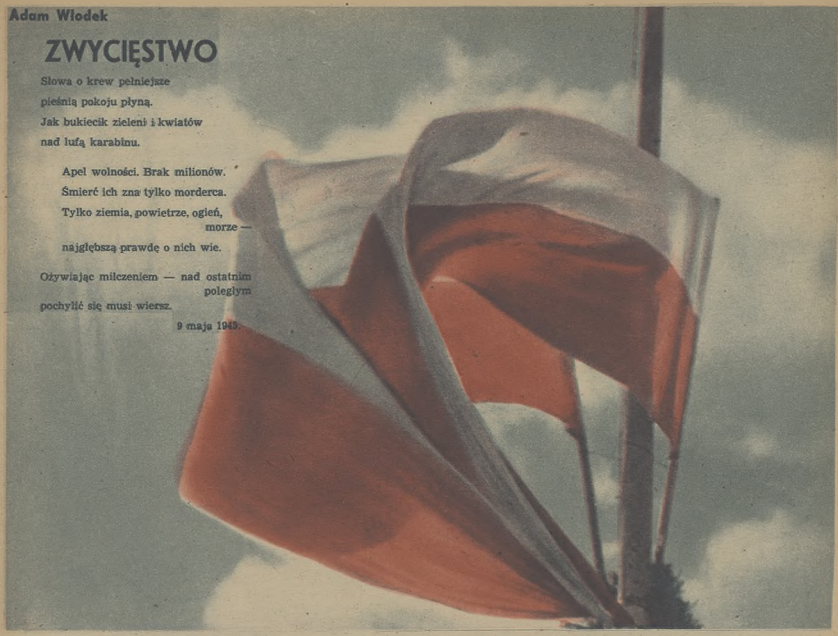

# ŚWIĘTO ZWYCIĘSTWA

*Nasi żołnierze przed Bramą Brandenburską w Berlinie.*

*Ruiny Reichstagu.*

*FOTO FILM POLSKI*

„Nadszedł dzień oczekiwany przez całą ludzkość, dzień, którego wywalczenie kosztowało miliony ofiar spośród wszystkich narodów, miłujących wolność.

Złamana została ostatecznie ohydna w swym barbarzyństwie hitlerowsko-germańska potęga i po sześciu prawie latach męki, ofiar i krwi zaświtał znów dla ludzkości — pokój.

Złamany został wróg, który zamierzał i realizował zniszczenie narodu polskiego. Starta została przemoc, poprzez tysiąclecia wisząca nad Polską".

Słowa orędzia Prezydenta Bieruta z dnia 9 maja 1945 r. najlepiej charakteryzują istotę tego największego w dziejach zwycięstwa.

Kiedy w drugiej połowie kwietnia 1945 roku armie polskie przekroczyły Odrę i Nysę i ruszyły do ataku, stało się dla wszystkich jasne, że zbliża się ostatni akt światowej zawieruchy wojennej.

Wróg nie poddawał się jeszcze, broniąc każdego metra drogi, prowadzącej do Berlina, z niesłychaną zaciętością. Nic zresztą dziwnego. Niemcy bali się kary za popełnione zbrodnie.

Ale żołnierz polski, posuwając się razem z żołnierzem radzieckim w ustawicznych bojach naprzód, bił wroga na jego własnej ziemi. I coraz silniej zaciskał się pierścień nacierających armii dokoła stolicy prusactwa.

Największym wyczynem Wojska Polskiego w tym okresie była krwawa bitwa pod Budziszynem, w której dowodzona przez ś. p. gen. Świerczewskiego II Armia powstrzymała przeważające siły nieprzyjaciela, zdążającego na odsiecz zagrożonemu Berlinowi.

W chwili przerwania działań wojennych oddziały I Armii Wojska Polskiego, którą dowodził gen. Popławski, znajdowały się daleko na zachód od Berlina, nad Łabą, jednostki zaś II Armii dotarły do Drezna i pod Pragę, niosąc wolność narodom Czechosłowacji.

Z tego historycznego zwycięstwa oręża polskiego płynie dla nas żywa nauka.

Droga, obrana przez naród polski w ostatniej wojnie, okazała się celowa i słuszna. Żołnierza polskiego zaprowadziła do serca niemczyzny, a Polsce przywróciła granice na Odrze i Nysie, które są granicami pokoju świata.

**L. Lewiński**

# Dojdziemy do Łaby

Samochody długą kolumną wjechały do jakiejś miasteczka. Wymarłe przed chwilą ulice zapełniły się gwarem głosów, szumem gaszonych motorów, tupotem nóg ludzkich. Gdzieniegdzie za oknami niewysokich, parterowych przeważnie domków, migały postacie ludzkie. Niemcy przylepiali na chwilę wystraszone twarze do szyb i natychmiast cofali się w głąb mieszkań.

Nasz Dodge, wysłużony bojowy samochód, mający za sobą nie jeden kilometr frontowych dróg i bezdroży — zatrzymuje się pośrodku zatłoczonej ulicy. Wyskakujemy w świeże, rozbrzygujące się błoto. Wyskakuję pierwszy i czuję, że ktoś trąca mnie mocno w ramię. Nie wiele brakowało, a leżałabym plackiem w lepkim, gliniastym mule. Na szczęście czyjeś mocne ręce chwytają mnie w pół. Zmieszana i trochę zła na siebie podnoszę głowę i już z radości wykrzykuję: Szymek! Jakie licho cię tu przyniosło? Gdzie twój pułk stoi?

Mój wybawca, to kapitan Jolles z dywizjonu 16 pułku. Jest zmęczony, przybladły, ale oczy jego tryskają weselem. — Przed minutą przyjechałem. Szukam generała. Muszę mu zameldować, że godzinę temu dotarliśmy do Łaby. Na drugim brzegu — Amerykanie.

W mig otacza nas grupa oficerów i żołnierzy. Padają bezładne pytania, każdy chciałby się dowiedzieć bliższych szczegółów. Ale Szymek wyrywa się z kręgu ciekawych i już z odległości kilku kroków rzuca nam krótko: Nie ma czasu. Mój pułkownik czeka na rozkazy dowódcy armii!

Oszołomieni patrzymy na siebie. Trudno uwierzyć w wiadomość podaną przed chwilą przez kapitana. Więc jak to, nie ma już przed nami Niemców? Nasze oddziały zetknęły się z armią sojuszniczą?

*Saperzy budują most*

To, na co czekaliśmy od wielu tygodni, stało się faktem. Front wschodni i zachodni zbliżyły się do siebie na odległość kilkuset metrów, rozdziela je tylko niemiecka rzeka Łaba. Rzeka, której nie trzeba już forsować, za którą nie czyhają nieprzyjacielskie działa i czołgi. Ażeby to sobie uprzytomnić, ażeby uwierzyć — trzeba zobaczyć na własne oczy!

Nazajutrz, wczesnym rankiem, nasz samochód mknie pełnym gazem na zachód. Pełnym gazem? Łatwo to powiedzieć, ale sprabujcie rozwinąć pełną szybkość, gdy co krok przecinają drogę leje pocisków, rowy strzeleckie i barykady gruzów. Wszędzie widać świeże ślady walk, spalone domy, porzucone w pośpiechu przez wyrywających Niemców działa przeciwlotnicze, prowizorycznie na prędce sklecone mosty i kładki. Wczoraj rano przechodziła tędy 6-ta dywizja piechoty, zmiatając przed sobą resztki „niezwyciężonej" armii niemieckiej.

Zbliżamy się do Heweli, ostatniej rzeki, którą nasi żołnierze forsowali w boju. Most? Oczywiście był kiedyś most, po którym akuratnie, dobrze odżywieni Niemcy przechodzili na drugą stronę. Był do niedawna, betonowy, wsparty na mocnych, żelaznych wiązaniach. Teraz w tym miejscu ziejе chłodna, mokra przepaść. Piaszczystą, krętą drogą zbaczamy na lewo w kierunku przeprawy. Zbudowali ją nasi saperzy w ciągu kilku godzin. Wiadomo, mają wprawę, budowali podobne przeprawy przez Bug, Wisłę, Odrę, Sprewę, kanał Hohenzollernów. Przysłowie mówi, że „saper i kaczka wody się nie boi", a my możemy dodać: nawet, jeżeli wokoło pękają miny i pociski, a bomby z przejmującym świstem walą na głowę.

Jest więc most, a jakże, pontonowy, z poręczami i tablicami ostrzegawczymi. Wszystko, jak się patrzy.

Rzeka Hewel pozostaje za nami. Naprzeciwko nam wychodzi jakaś piesza kolumna. Za chwilę mijamy długi szereg jeńców niemieckich pod ochroną jednego polskiego żołnierza. Konwojent dziarsko salutuje i uśmiecha się do nas, jakby chciał powiedzieć: Widzicie tych „zdobywców świata?" Dowojowali się, juchy!

W szłabie dywizji ruch. Właśnie przyprowadzono z „frontu" nową partię jeńców. Dużo macie tego towaru? — pytamy napotkanych zwiadowców.

— Gdzie tam dużo! Zaledwie kilkadziesiąt sztuk. Była ich masa, ale pouciekali wpław przez Łabę, do Amerykanów. Boją się nas gorzej, niż diabeł święconej wody. U „Wuja Sama" będzie im lepiej.

— A widzieliście amerykańskich żołnierzy? — pytamy zaciekawieni.

— No, pewnie — odzywa się wysoki, jasnowłosy sierżant. — Przepływają na nasz brzeg Szarkają, gdzieby co można zamienić. Najwięcej lecą na zegarki i szwabskie pistolety.

Patrzymy na siebie porozumiewawczo, rzucamy chłopcom pożegnalne: cześć! — i mkniemy dalej. Już tylko kilka kilometrów dzieli nas od celu wyprawy. Napotkane patrole informują nas, jak daleko do brzegu.

Tu już zaraz, nie będzie kilometra — słyszymy objaśnienie. — Widzicie to miasteczko? Leży nad samą rzeką.

Kierujemy wzrok za wyciągniętą ręką żołnierza. Rzeczywiście, w odległości może pięciuset metrów widnieją zabudowania miejskie. Dopiero dojeżdżając bliżej spostrzegamy, że domniemane miasteczko, to faktycznie kupa gruzów i kamieni. Ulice zasypane są cegłami i żelastwem zburzonych domów, nasz Dodge z trudem przeciska się wśród tego rumowiska. Nie ma doslownie ani jednej całej ściany. Widać artyleria i lotnictwo dokładnie wykonały swoje zadanie. Jak się okazuje, dowództwo amerykańskiej jednostki wojskowej, która dotarła do zachodniego brzegu Łaby przed naszymi oddziałami, żądało od Niemców w miasteczku kapitulacji. Nie wiadomo z jakiej przyczyny odpowiedzi nie było. Wówczas amerykańskie samoloty i działa tak długo bombardowały mieścinę (podobno trwało to bez przerwy 24 godziny), aż nie pozostał kamień na kamieniu.

Oto czysta robota — dziwią się nasi artylerzyści. — Podobno Amerykanie wojowali tak, że albo brali miejscowość bez walki (jeżeli Niemcy nie stawiali oporu), albo wszystko doczysta burzyli i dopiero wtedy wkraczali.

No, tu już wkroczyć nie zdążyli — myślę sobie — uprzedzili ich nasi chłopcy z szóstej Kołobrzeskiej. Swoją drogą ciekawa metoda zdobywania nieprzyjacielskich terenów. Nie wiadomo, czy starczyłoby Amerykanom pocisków i artylerii, gdyby Niemcy stawiali im taki zacięty opór, jak nam z Rosjanom. W każdym razie jedno jest pewne. Trzeba być

bogatym wujaszkiem z Ameryki, żeby sobie pozwolić na takie wydatkowanie materiałów wojennych dla każdego zdobywanego miasteczka. Nas na to nie było stać i dlatego też nasze zwycięstwa musiały być okupione najwyższym bohaterstwem i poświęceniem żywych ludzi, a nie przewagą techniki i sprzętu.

Widocznie moi towarzysze pomyśleli o tym samym, bo posmutnieli jakoś i umilkli. Ale wrażenia następowały po sobie zbyt szybko, abyśmy mogli długo oddawać się refleksjom. Na skraju miasteczka ujrzeliśmy wysoki, lesisty brzeg po przeciwnej stronie rzeki. W pierwszej chwili wszystko zlało się w jedną zieloność, zaraz jednak zaczęliśmy odróżniać dymy, snujące się nad zaroślami, a potem kilka gwiaździstych sztandarów, wyglądających z daleka jak chusteczki do nosa. Minęliśmy wał nadbrzeżny i dopiero wtedy wyłoniła się wstęga wody. A bliżej, u naszych stóp.... Czy to możliwe? Niski, wschodni brzeg Łaby, nasz brzeg, to było istne pobojowisko. Dziesiątki samochodów, porzuconych dział i moździerzy sterczało w piasku. Pod nogami walały się niemieckie hełmy, ładownice, maski gazowe, karabiny i granaty. Nawet koce i płaszcze leżały tu i ówdzie bezładnymi kupami. Była tego na niewielkim, może stumetrowym odcinku taka masa, że wystarczyłoby na dwa pułki piechoty.

Co się tu stało? Czyżby jakiś magazyn uzbrojenia i umundurowania wyrzucono na brzeg rzeki?

Nasze zdziwione okrzyki przerwał major ze sztabu dywizji, który tu przeprowadzał inspekcję naszych stanowisk.

— Kiedy przyparliśmy Niemców do muru, a właściwie do wody, to ogarnął ich taki strach przed polskim wojskiem, że jak barany porzucili wszystko i wpław umykali na drugi brzeg, szukać schronienia u naszych zachodnich sojuszników.

No, oczywiście! — rozjaśniło mi się w głowie. Mają większe zaufanie do anglosasów, aniżeli do Słowian. Wiedzieli, bestie, że my im urlopów świątecznych z obozów dawać nie będziemy.

Gdyśmy tak stali i podziwiali to poniemieckie mienie, od sojuszniczego brzegu odbiła amfibia, pełna żołnierzy i powoli zbliżała się do nas. Po chwili na brzeg wyskoczyli Amerykanie. Jakoś nie bardzo po żołniersku wyglądali. Pomimo, że nasi żołnierze mieli wówczas mocno sflygowane mundury, a oni nowe bluzy, solidne sportowe buciki i błyszczące hełmy, postawa i wygląd polskiego piechura były znacznie lepsze. Tanci wyglądali, jak przebrani po wojskowemu cywile. Podeszliśmy do nich i trochę na migi, a trochę przy pomocy niemieckiego języka zaczęliśmy rozmowę.

Nasz major, wysłużony frontowy oficer, miał na mundurze szereg odznaczeń, między innym sowiecki order Czerwonej Gwiazdy, który błyszczał mocniej od pozostałych. Jeden z amerykańskich żołnierzy podszedł do majora i zaczął mu coś gorąco perswadować, przy czym pokazał jakieś guziki, scyzoryk, a nawet srebrną papierośnicę. Nie mogliśmy zrozumieć, po co wyciąga te wszystkie świecidełka, o co mu właściwie chodzi? Ostatecznie wyjaśniło się, że nasz sojusznik chce kupić od majora jego order Czerwonej Gwiazdy. Bardzo mu na tym zależało i długo nie chciał dać za wygraną. Uśmialiśmy się setnie. Dopiero po wielu perswazjach rozżalony i nic nie rozumiejący Amerykanin zrezygnował ze swego pomysłu.

Było już po zachodzie słońca, gdy opuściliśmy żołnierzy 16-go Kołobrzeskiego pułku piechoty, pełniących straż nad Łabą. Ciągnęliśmy za sobą na kanacie piękną, białą, porzuconą przez szkopów sanitarkę, którą w kilka miesięcy później dowództwo Pierwszej Armii przekazało w darze Zarządowi Miasta Warszawy.

**MJR NATALIA RAJTNER**

*FOTO FILM POLSKI* *Przeprawa przez rzekę Hawel*

*Zosia Surmianka przy pieleniu inspektów*

# SZKOŁA GOSPODYŃ WIEJSKICH

Niedaleko Łowicza leży niewielka miejscowość — Dąbrowa Zduńska. Tam właśnie mieści się Powiatowa Żeńska Szkoła Rolnicza, jedna z tych szkół, od których istnienia i poziomu zależy stan gospodarczy wsi, a pośrednio — stan gospodarczy Państwa.

Kultura gospodarstw wiejskich jest rzeczą o olbrzymim znaczeniu. Właściwe wykorzystanie każdego skrawka ziemi, właściwe prowadzenie hodowli bydła i drobiu — może nieraz kilkakrotnie podnieść dobrobyt poszczególnej rodziny, a co za tym idzie, i dobrobyt ogólny.

Tej właśnie umiejętności racjonalnego gospodarowania uczą szkoły rolnicze. Przed wojną było ich w Polsce niewiele. Obecnie — wydatki na zawodowe kształcenie rolników zajmują jedno z pierwszych miejsc w budżecie Ministerstwa Oświaty.

Powiatowa Żeńska Szkoła Rolnicza w Dąbrowie Zduńskiej obejmuje wszystkie działy gospodarstwa wiejskiego i zapoznaje z ostatnimi zdobyczami w tej dziedzinie. Teraz, na wiosnę, ruch i ożywienie w szkole są wielkie. Uczenice okopują krzewy w ogrodzie, sadzą, grabią, pielą troskliwie pielęgnowane inspekty. Inż. Wyszomirski, kierownik szkoły, z dumą pokazuje nam wspaniałe okazy buraków cukrowych, wyhodowanych na piasku. Waga takiego buraka dochodzi do 7,5 kg.

Jedną z najważniejszych pozycji gospodarstwa wiejskiego jest hodowla drobiu. Dotychczas nie bardzo ją u nas doceniano. Przeciętna gospodyni wiejska nie zdawała sobie sprawy z korzyści, jakie może jej przynieść umiejętne prowadzenie kurnika.

W Szkole Rolniczej w Dąbrowie Zduńskiej dziewczęta uczą się fachowego obchodzenia się z drobiem, uczą się o właściwościach rozmaitych gatunków kur, o leghornach, karmazynach i zielononóżkach. O ich karmieniu, krzyżowaniu i zapobieganiu chorobom.

Gdy po roku z jasnych sal internatu szkolnego uczenice z Dąbrowy Zduńskiej powrócą do swoich wsi, zastosują nabyte w szkole wiadomości w życiu praktycznym. Staną się pełnowartościowymi gospodyniami. Zaniedbana, opuszczona polska wieś otrzyma nowe oblicze: zapanują w niej dobrobyt, ład i czystość.

*FILM POLSKI — FOTO DĄBROWIECKI*

*Lewa marsz!*

*„Leghorny" w Dąbrowie Zduńskiej*

*Burak, który pokazuje Marysia Mysiówna, waży 7,5 kg.*

# ZIELONY CMENTARZ AMAZONKI

Historia kauczuku jest stara, jak ludzka krzywda. Już pierwsi konkwistadorzy hiszpańsko-portugalscy, przybyli na kontynent Ameryki Południowej, poznali w dorzeczu Amazonki to osobliwe drzewo, które po nacięciu wydziela kleisty sok, dający się urabiać na gęstą, elastyczną masę. Ale konkwistadorzy szukali tylko złota. Osobliwe drzewo kauczukowe niewiele ich obchodziło. Szybko wyniesli się z niegościnnych puszcz Amazonki.

Dopiero w kilkaset lat potem, kiedy w dalekim świecie ruszyły pierwsze samochody i samoloty, brazylijskie drzewo „havea", dostarczające kauczukowej masy, stało się cenne, jak złoto. Całe zastępy poszukiwaczy ruszyły wzdłuż Amazonki. Nie powstrzymały ich ani żółta febra, ani beriberi, ani Indianie Botocudos, ani jadowite węże. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki powstawały ludzkie osiedla, kolonie, faktorie, coraz głębiej i głębiej zapuszczając korzenie w puszczę. Płynęły pieniądze, rosły miasta obłąkane, wspaniałe. W salach, gdzie odbywały się zgrzane dancingi, okna zmywano drogocennym, musującym winem, aktorki z Paryża przyjeżdżały na gościnne występy, awanturnicy, uczeni, straceńcy — rzucali dotychczasowe życie i szli w lasy, by zbierać gęstą, mleczną ciecz. Gdy wracali, w Belem czekały na nich setki spekulantów, kupców, pośredników z całej kuli ziemskiej. W dół rzeki ciągnęły okręty, wiozące drogi surowiec. Tysiącem świateł jarzyło się Manaos, bajeczna stolica stanu Amazonas.

Kauczuk brazylijski był niezrównany. „Havea" rosła tylko w Brazylii. Kto mógł przypuścić, że złote czasy Amazonas miną tak prędko?

Mineły. Chytrzy Anglicy wywieźli podstępnie małe, roślinne sadzonki i zasadzili w swoich koloniach na wschodzie. Warunki klimatyczne okazały się pomyślne. W posiadłościach angielskich na Oceanie Indyjskim i na Pacyfiku powstały olbrzymie plantacje „havea'y". Wtedy to przyszedł słynny krach.

Brazylijski kauczuk nie wytrzymał zorganizowanej, stale ulepszanej produkcyjnie, konkurencji. Nie chciał go kupować nikt, nawet za śmiesznie niską cenę. W ciągu kilku zaledwie lat Amazonas upadło nieodwalnie i ostatecznie. Na opuszczone osiedla weszła z powrotem puszcza. Niezamieszkałe domy powoli murszały, dając schronienie już tylko dzikim zwierzętom lub trędowatemu włóczędze. Tętniące życiem Manaos stało się wymarłym miastem. Tramwajowe ezyny zarosły trawą. Zamknięto na kłódkę opustoszały, olbrzymi gmach opery. Minęły lata. O kauczukowej tragedii ludzie powoli zapomnieli.

Przyszedł rok 1939. Wojna rozpoczęta napadem niemieckim na Polskę objęła wkrótce cały świat.

W wyniku posiępów japońskich na Dalekim Wschodzie i Pacyfiku Anglia utraciła swe posiadłości kolonialne, a z nimi — ogromne plantacje kauczuku, dostarczające rocznie dwa miliony ton cennego surowca.

Każdy dzień wojny przynosił milionowe straty. Na nowe czołgi, samoloty, samochody, trzeba było tysięcy ton kauczuku. Wtedy to przypomniano sobie o stanie Amazonas. Oczy aliantów zwróciły się ku Brazylii.

Brazylia przystąpiła do wojny przeciw faszyzmowi. Na apel Anglo-Amerykanów wystawiła dwie armie: jedna udała się do Włoch, druga do puszcz Amazonki, po kauczuk. Armia „włoska" po skończonej wojnie wróciła do Rio de Janeiro, witana owacyjnie przez ludność. Armia kauczukowa — nie wróciła.

*

Kiedy rząd brazylijski ogłosił ochotniczy werbunek do eksploatacji kauczuku w dorzeczu Amazonki, chętnych znalazło się wielu. Rekrutowali się przeważnie ze stanów północnych Ceara, Piauhy, Maranhao, gdzie ludność przywykła do tropikalnego klimatu. Znalazła się również i niewielka garstka białych emigrantów, którzy zapragnęli kauczukowego szczęścia... „Serringueros" mieli przyrzeczone wysokie zarobki, opiekę lekarską, umundurowanie, życie, mieszkanie i wszelkie udogodnienia.

W pierwszym okresie rząd dotrzymał przyrzeczeń. Każdy „serringuero" poddany został badaniu lekarskiemu, otrzymał kombinezon, paczkę żywnościową na drogę, broń, lekarstwa i udawał się na punkt zborny do Belem. Stamtąd 54-tysięczna armia „serringueros" ruszyła na statkach w górę Amazonki, do odległego o dwa tysiące kilometrów Manaos.

Początkowo pociągiem, potem na traiwach, na mułach, wreszcie pieszo, dotarli podzieleni na grupy serringueros do miejsc niezbadanych, nienaznaczonych na żadnej mapie, w sam środek zielonego piekła, by nacinać drzewa kauczukowe i zbierać kauczukową ciecz, by alianci mogli wygrać wojnę. Raz w miesiącu przyjeżdżali łącznicy, przywozili pocztę i żywność, zabierali kauczuk i uciekali pośpiesznie. Serringueros zostawali w głębi puszczy.

W puszczy jest tysiące zdrad i śmierć czyha za każdym drzewem. Zabójczy, malaryczny klimat odbiera sen i apetyt. Stałe mdłości powodują torsje, febra trzęsie osłabione ciała. Na wąskich „picadach" czają się jaguary. Dusiciele upatrują zdobyczy bezbarwnymi, okrutnymi oczami. W bagnach i rzekach czatują na żer aligatory i straszliwe, małe rybki „piranhas". Niezliczone owady, komary, pająki, berny zatruwają krew, mącą umysł.

W „rancho", w lesie, przy pracy ludzie z kauczukowej armii padali jak muchy. Niektórym rozum się mieszał i ci z obłąkanym krzykiem uciekali w las, by stać się łupem jaguara. Niektórzy płakali tylko, zapadali na ową dziwną, nieznaną medycynie chorobę brazylijskiej puszczy, która sprawia, że wszystko w człowieku jakby umiera, tylko o każdym zachodzie słońca zaczynają po twarzy płynąć łzy, bezwolne i niepowstrzymane.

Na dalekim wschodzie dzięki kauczukowi Japonia została pokonana. W puszczach Amazonki armia „serringueros" zdobyła kauczuk, ale sama padła na polu walki. Z Belem wyruszyło na statkach 54 tysiące ludzi. Dwadzieścia trzy tysiące znalazło śmierć na miejscu. Co stało się z resztą? — Niewiadomo.

O los żołnierzy kauczukowej armii nie ma co pytać. Zginęli, jak zginęli nieznani żołnierze całego świata. Wojna się skończyła. Brytyjskie plantacje kauczuku zostały odzyskane. Resztą przestano się interesować. Rząd brazylijski nie zatroszczył się o swych obywateli. Zawiódł ich w puszczę i zapomniał o nich. Sami, o własnych siłach, nie wydostaną się stamtąd, jeżeli żyją jeszcze... Może dziesięciu, może pięciu, zdoła przedrzeć się przez puszczę, jeśli sprzyjać im będzie szczęście. W zapadłych osadach można spotkać takiego „szczęśliwca", zębrzącego obłąkańca, zżartego przez wrzody i chorobę...

W Belem do Para, w najelegantszej dzielnicy miasta, powstało kilka nowych domów handlowych, które na kauczuku zrobiły fortuny. Żołnierze armii kauczukowej, armii, która nie wróciła, leżą na zielonym cmentarzu Amazonki.

**JERZY ŚLADKOWSKI**

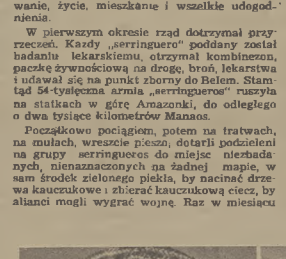

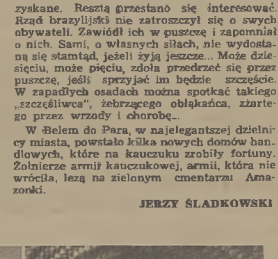

*Paco marzy o chwili, gdy znajdzie się w głębi puszczy*

*Młodość Jose'go uśmiecha się do przygody*

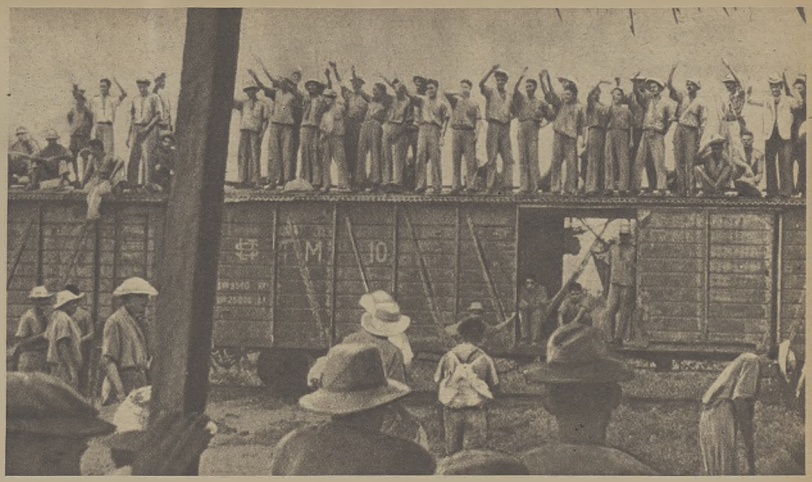

W drodze do puszczy

W walce z aligatorem

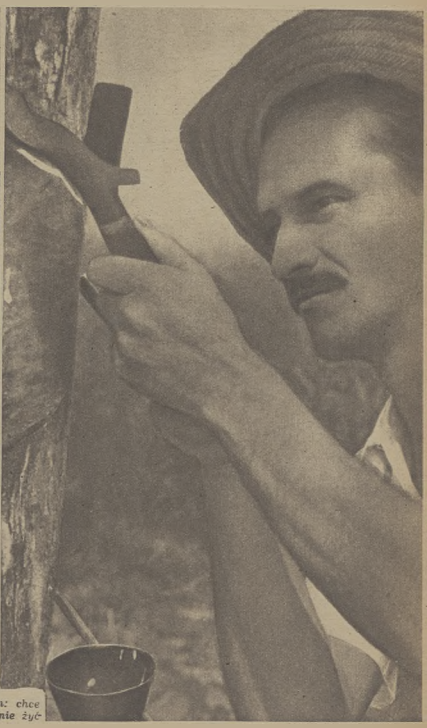

Pedrinho zostawił w małej osadzie starą matkę

Blasco jest człowiekiem praktycznym: chce dorobić się majątku, by móc spokojnie żyć

# JAK POWSTAJE SERWIS KRYSZTAŁOWY

FOTO FILM POLSKI

JEŻELI spytamy znienacka różnych ludzi co wiedzą o kryształach, to każdy z nich powie co innego. Chemik będzie mówił o cudownych właściwościach różnych ciał, które w roztworach nasyconych tworzą regularne geometrycznie piękne formy, czyli krystalizują się. Kupiec spożywczy powie o worku cukru kryształowego, a kobieta — powie o serwisie kryształowym, o delikatnym dźwięku kieliszków i szklanek, o wymyślnych nacięciach i szlifach kompotierek, waz i flakonów.

Wprawdzie nie jestem kobietą, ale lubię kryształowe naczynia i znalazłszy się w pobliżu huty, w której te cuda się wyrabia, skorzystałem ze sposobności zapoznania się z metodami ich produkcji.

W Polsce przed wojną kryształy wyrabiano tylko w Piotrkowie i w Dąbrowie Górniczej. Obecnie, po przyłączeniu Dolnego Śląska, nasz przemysł szklany powiększył się o trzydzieści hut, w tym kilka hut wyrabiających szkło kryształowe. W Karkonoszach tradycje hutnicze sięgają aż dwunastego wieku. Dawniej huty opalano drzewem, a w górach łatwo było o opał. Gdy już wszystkie drzewa w jednej miejscowości wycięto, huta przenosiła się do innej.

Huta „Józefina" w Szklarskiej Porębie posiada też bardzo dawne tradycje. Obecne jej budynki zostały postawione w 1844 r. Huta należała wraz z innymi obiektami przemysłowymi i terenami do magnata dolnośląskiego, hrabiego Schaffkotscha. Polskie władze objęły hutę w lipcu 1945 r. a już na początku 1946 r. została uruchomiona.

Na początku jest, jak w każdej hucie szklanej, piec, w którym w wielkich donicach z szamotowej gliny rozpuszcza się masa szklana. Jest ona inna, niż dla zwykłego szkła, gdyż piasek do niej używany nie może być zanieczyszczony żelazem. Dodaje się do niej ołowiu i innych składników, będących nieraz przemysłowym sekretem firmy.

Roztopioną masę naczerpuje na koniec dmuchawicy hutnik i z niezrównaną ręcznością z małego balonika wydyma naczynie o wymyślnych nieraz kształtach.

Wszystkie te przyszłe kieliszki, szklanki, kompotierki, wazony itp. zaledwie z grubsza przypominają to, czym mają się stać. Trzeba je oszlifować, wyrównać chropowatości brzegów i nóżek, zrobić z bańki naczynie z pokrywką przez umiejętne przepołowienie jej itd. Odbywa się to na tarczach żelaznych lub kamiennych, przy użyciu piasku karborundowego. Praca ta jest szczególnie niebezpieczna dla oczu, odpryski szkła niejednego szlifierza już pozbawiły wzroku. Cóż, mimo to szlifierze nie chcą używać okularów ochronnych.

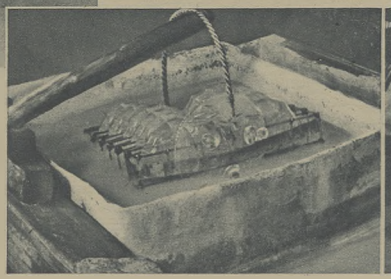

*Kąpiel w kwasie nadaje kryształowi przezroczystość.*

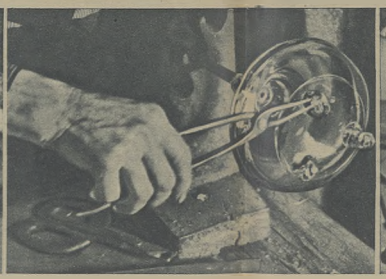

*Obcinanie nóżek*

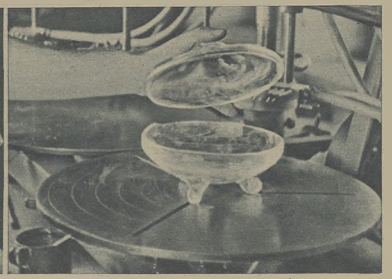

*Na tarczy oddziela się z naczynia pokrywkę.*

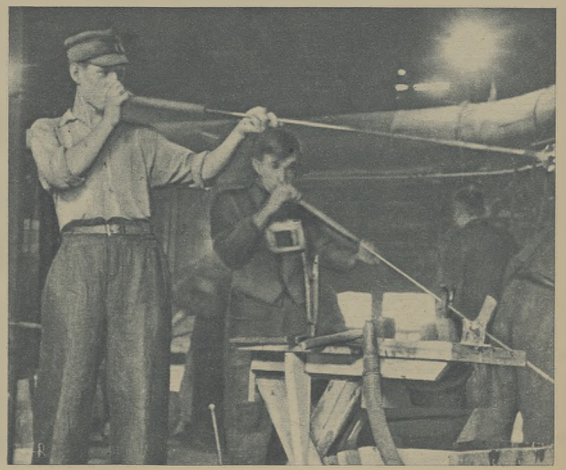

FOTO FILM POLSKI

Gdy już naczynia uzyskały swój definitywny kształt, idą do kreślarni, gdzie wykreśla się na nich czarnym lakierem wzory. Każde przyszłe nacięcie oznacza się tu kreską. Z kolei naczynie wędruje do tak zwanej kuglerni, gdzie nacięcia zostają wykonane. Praca w kuglerni jest pracą wysoko kwalifikowaną, wymaga długiej specjalizacji i pewnej ręki. Nic łatwiejszego bowiem, jak zepsuć kruche naczynko. Z tych pewnie względów panuje w kuglerni bardzo ścisły podział pracy i coś w rodzaju fordowskiej taśmy. Każdy kugler wykonywa sobie tylko właściwy rodzaj nacięć. W ten sposób jedno naczynie o kilku tysiącach nacięć powstaje na skutek pracy kilkudziesięciu ludzi. Do każdego rodzaju nacięć służy oddzielna tarcza czy tarczka z karborundu, który — jedyny — żłobi szkło.

Gdy wreszcie naczynie przeszło przez wszystkie ręce i posiada tyle nacięć, i w takie ułożonych desenie, jak tego sobie życzył projektodawca, jest ono już kryształem, ale jeszcze niezbyt pięknym. Praca kuglerów dała im wszystkie wzory, ale zarazem zmatowiła je. Żeby te zmatowienia usunąć, żeby nadać kryształowi tę przejrzystość, z jakiej słynie, trzeba go wykąpać w kwasie fluoro-wodorowym, który — jedyny ze wszystkich kwasów — posiada moc rozpuszczania szkła. Naczynia układa się w miedzianych koszyczkach i przenosi do kwasiarni, gdzie specjalny robotnik, ubrany w gumowy fartuch i sięgające ramion takież rękawice, dozoruje tego procesu. Naczynie przebywa w kwasie od 15 do 20 minut. W tym czasie wierzchnia jego warstewka, zawierająca różne zanieczyszczenia, rozpuszcza się i oto otrzymujemy piękny, przejrzysty kryształ.

Praca przy tak żrącym kwasie jest bardzo niezdrowa i choć robotnik jest zabezpieczony przed poparzeniami, to jednak nie ma sposobu, żeby zabezpieczyć go przed wdychaniem oparów kwasu. Z kwasiarni po umyciu w wodzie naczynia wędrują do sortowni, gdzie są bardzo sumiennie badane, czy nie zawierają defektów czy skaz.

Nie wszystkie naczynia przechodzą wspomnianą przeze mnie drogę. Są np. naczynia, obecnie zresztą wyrabiane rzadko, gdzie pracę kuglera zastępuje praca malarza. Zamiast nacięć powstają na ścianach i podstawkach naczynia obrazy malowane specjalną emalią. Ta technika, jak i technika wyrabiania szkła dwubarwnego zostaje zarzucona, gdyż największym powodzeniem cieszą się obecnie kryształy przezroczyste.

Obrazy na szkle nie malowane, lecz rzeźbione, to najwyższy szczyt kunsztu. Zajmuje się tym tak zwany grawer, artysta-wirtuoz w swoim zawodzie. Jego pracownia przypomina gabinet dentysty, ale dentysty, który leczy zęby co najmniej mamutów. Narzędzia, którymi obrabia on powierzchnię szkła, przypominają bowiem ogromnie powiększone narzędzia dentysty. Przy pomocy tych narzędzi grawer tworzy na delikatnych ściankach kielicha czy innego naczynia całe sceny myśliwskie, postacie zwierząt i ptaków, krajobrazy, kwiaty, sceny klasyczne itp. Zrobienie napisu pamiątkowego na pucharze, przeznaczonym dla zwycięzcy w zawodach sportowych, to dla niego fraszka. Grawer to mistrz między szlifierzami i kuglerami. Zajmuje on najwyższe stanowisko w hierarchii pracowników huty kryształowej.

Jeszcze innym rodzajem techniki jest inkrustowanie kryształu metalem, przeważnie srebrem, i stapianie go przy pomocy specjalnej techniki w jedną całość ze szkłem.

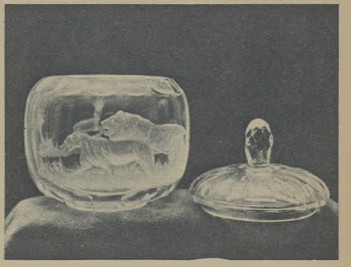

ze świata

8 maja 1945 roku Niemcy w Reims podpisały akt kapitulacji wobec mocarstw zachodnich. Dzień później, 9 maja 1945 roku Niemcy w Berlinie uczyniły to samo wobec Z. S. R. R. W ten sposób zakończona została w Europie druga wojna światowa. Dziesiątki milionów wygłodzonych ludzi uwolnionych z niemieckich obozów śmierci potrzebowało natychmiastowej pomocy. Dziesiątki milionów dzieci, zagrożonych gruźlicą, potrzebowało pomocy. Dziesiątki tysięcy zburzonych miast potrzebowało rąk do odbudowy. Niemcy bowiem zburzyli Europę od Cherbourga aż do — Wołgi.

Podczas długich lat wojny Europa marzyła o pokoju. Ale 8 i 9 maja przyniosły koniec wojny w Europie. Do początku prawdziwego pokoju było jeszcze daleko — i wciąż jest jeszcze daleko, nawet dziś, po dwu latach stanu pokojowego.

Prawda, uchroniono pozostałych przy życiu więźniów przed komorą gazową. Zorganizowano pomoc dla najbardziej zniszczonych krajów. Rozpoczęto proces odbudowy w szeregu krajów Europy. Powstają domy, dymią fabryki, ruszają lokomotywy i statki. Ale prawdziwego pokoju — wbrew licznym konferencjom, zwącym się „pokojowymi" wciąż jeszcze nie ma. Okazało się, że stworzenie pokoju jest rzeczą trudną. Zwycięskie mocarstwa nie mogą jak dotąd uzgodnić swego stanowiska wobec pobitych Niemiec. Mocarstwa anglosaskie, oparte na systemie kapitalistycznym, pragną jak najszybszej odbudowy Niemiec, gdyż proces odbudowy pochłonie ich nadprodukcję przemysłową i zażegna grożący im kryzys gospodarczy. Państwa europejskie chcą co prawda współpracować z demokratycznymi Niemcami, ale żądają odpowiedniej — gospodarczej, politycznej i terytorialnej — gwarancji, że nigdy już naród niemiecki nie wzniesie w sercu Europy krematoriów i nie będzie — w wieku XX, chlubiącym się swoją kulturą i cywilizacją — gazował w nich ludzi. Drugą trudnością w stworzeniu pokoju są obudzone apetyty imperialistyczne mocarstw kapitalistycznych i przeciwstawiające się im ruchy wyzwoleńcze ludów kolonialnych. Narody kolonialne pochlubić się mogą w ciągu dwóch lat pokoju wielkimi sukcesami: Indie Holenderskie uzyskują równouprawnienie z krajem macierzystym, Indie Brytyjskie stoją u progu swej niepodległości, budzi się świadomość narodowa na Malajach, w Burmie, w państwach arabskich. Nie wiele zdziałają tu zapędy amerykańskich kół wojskowych, prących do zbrojnego opanowania świata i uczynienia go wielkim rynkiem zbytu dla amerykańskiego produktu. Historii cofnąć się nie da. W przyszłości nie będzie narodów panów i narodów niewolników, narodów producentów i narodów wyzyskiwanych konsumentów, narodów-fabrykantów i narodów-robotników. W przyszłości narody muszą żyć jednakowo i mieć jedną kulturę, o ile oczywiście myślimy poważnie o kulturze i o człowieku.

*Keitel podpisuje akt bezwarunkowej kapitulacji Niemiec.*

*Profesor Harold Lasky*

Druga wojna światowa nie zakończyła się w Europie. Zakończyła się w Japonii zrzuceniem bomby atomowej na dwa japońskie miasta przemysłowe, które — wskutek wybuchu — przestały istnieć. Eksperci zgodnie podkreślają, że wyzwolone zostały w ten sposób siły, zdolne zniszczyć człowieka i jego kulturę, więcej, zdolne, zniszczyć wszelkie życie na ziemi. I to jest trzecia trudność w utrwaleniu pokoju, gdyż świat żyje pod psychozą trzeciej wojny, wojny, która będzie ostatnia, wojny, po której nie zostanie to, co nazywamy — z pewną dumą — cywilizacją i kulturą.

Nic tedy dziwnego, że dwa lata pokoju były bardzo niespokojne, że obok głosów katastrofistów prorokujących zagładę człowieka, obok militarystów i kapitalistów, usiłujących zdyskontować na swoją korzyść niepewność świata, pojawiają się zdrowe, słuszne reakcje u ludzi i narodów, wierzących w pokój i nawołujących do jedności świata, a przez to do dobrobytu i szczęścia człowieka.

Piszemy o tych znanych rzeczach po to, aby czytelnik nauczył się pod powierzchnią cotygodniowych nowin i codziennych komunikatów odczuwać głębię wydarzeń, ich nurt — jeśli się można tak wyrazić — podziemny. Żeby zrozumiał, że drobne, pospolite wydarzenia układają się w dzieje świata. Że kiedy prof. Harold Lasky, członek angielskiej Partii Pracy, powie ironicznie, iż U. S. A. uczyniły z Japonii czterdziesty dziewiąty stan, a z Anglii chcą uczynić pięćdziesiąty, to nie jest to tylko dowcip, ale głęboka obawa wielu milionów ludzi przed imperializmem, prowadzącym nieuchronnie do wojny. Że kiedy komentator angielskiego pisma napisze kostycznie, iż prasa południ.-afrykańska nie zamieszcza zdjęć pary królewskiej, która w podróży po Afryce Południowej styka się z murzynami, to nie jest to antymonarchistyczny wybryk, ale głęboka nienawiść przeciw rasizmowi, pleniącemu się w tym kraju. Trzeba pojąć, że kiedy prof. Jolliot oświadczył, iż Francja posiada energię atomową dla celów pokojowych, a nie wojennych i że do wyrobu bomby atomowej nie przyłoży ręki żaden francuski uczony, to nie jest to objaw złego humoru Francuza, ale głęboka troska o los świata, wspól-



KEYSTONE — FOTO SAP

*Słynni uczeni, małżonkowie Joliot-Curie.*

*Eksplozja w mieście Texas.*

*Wysadzenie w powietrze wyspy Helgoland*

na wszystkim ludziom, „miłującym pokój". I może wtedy łatwiej ustalić można będzie hierarchię wydarzeń i łatwiej ocenimy owe dwa lata, które dzielą nas od zakończenia wojny.

Będziemy wprawdzie współczuć głęboko ofiarom wybuchu w mieście Texas w Ameryce i niepokoić się z tego powodu, że nie cały Helgoland wyleciał w powietrze, ale nie staniemy się pesymistami z powodu trudności, na które napotkała konferencja w Moskwie i nie stracimy sympatii do Hindusów, tworzących w trudzie własne, niepodległe państwo. Należy bowiem myśleć o świecie, jako o jednej, niepodzielnej całości i patrzeć w przyszłość nie na lata, ale na dziesiątki i setki lat.

*KEYSTONE — FOTO SAP*

*Hindusi obradują*

Marjorie Kinnan Rawlings

# Rocznik

*Przekład autoryzowany Adama Galisa.* 11)

ROZDZIAŁ 8.

Jody przymknął furtkę. W powietrzu unosił się nieomylny zapach smażonego mięsa. Jody obiegł dom dokoła. Uczucie niechęci walczyło z nim o lepsze z ochotą. Nie zatrzymał się jednak przy otwartych drzwiach kuchennych, pośpieszył do ojca. Penny wyszedł na próg wędzarni i powitał syna.

Jody ujrzał prawdę, która sprawiła mu równocześnie przykrość i zadowolenie. Wielka skóra jelenia wisiała na ścianie wędzarni.

Zwrócił się z wyrzutem do ojca: — Nie poczekałeś na mnie z polowaniem! — tupnął nogą. — Już następnym razem nie zgodzę się, żebyś mnie zostawiał samego.

Spokojnie, synku! — Posłuchaj wpierw co ci opowiem. Będziesz zadowolony, że tak się rzecz ułożyła.

Rozdzielnie Jodyego ostygło. Górę wzięła ciekawość.

— No to opowiedz tato, prędko, jak to było?...

Penny usiadł po turecku na piasku. Jody wyciągnął się na ziemi obok ojca.

— Był to samiec. Omal na niego nie wpadłem.

Jodyego znów opanowała fala gniewu.

— A nie mógł ten jeleń poczekać aż wrócę do domu!

— Chyba nie nudziłeś się u Forresterów? Niełatwo być takim zachłannym. Łowić dwie ryby na jedną wędkę...

— A właśnie, że mógł poczekać! — powtórzył Jody uparcie. — Czasu nigdy nie jest za wiele. Zbyt szybko upływa.

Penny rozśmiał się.

— Na to nie ma rady. Jeszcze się taki nie urodził, coby potrafił zatrzymać czas w biegu.

— Czy jeleń uciekał, tato?

— Ależ właśnie to chciałem opowiedzieć. Pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się, żeby zwierzę stało bez ruchu na drodze, naprzasując się o strzał. Jeleń był jak skamieniały. Nawet nie raczył zwrócić uwagi na konia. W pierwszej chwili myślę sobie, do kaduka! — taka mi gratka nadarza się, a jak na złość, nie mam ładunków do nowej dubeltówki. Tknięty jakąś myślą przełamuję strzelbę, zaglądam od tyłu w lufy, patrzę, wielkie nieba! Powinienem był przecież pamiętać, że Forresterowie mają zawsze broń nabitą, na podorędziu. Dwa ładunki tkwiły w zanadrzu, a jeleń wciąż stoi sobie, jak by przyrósł do ziemi i czeka. Złożyłem się. Wystrzeliłem. Runął jak wór mąki. Wciągnąłem go na Cezara i poszliśmy do domu. A powiem ci jeszcze com sobie myślał we dwoje: ...jeśli przynlosę taką zdobycz — pomyślałem — to mamie nijako będzie gniewać się, że zostawiłem cię u Forresterów...

— A co mama powiedziała, kiedy zobaczyła strzelbę i jelenia?

— Powiedziała tak: gdyby to był kto inny, a nie taki uczciwy wariat jak ty, przysięgałabym, że to kradzione.

Zachichotali. Z kuchni płynęły rozkoszne zapachy. Wizyta u Forresterów poszła w niepamięć. Jedyne o czym warto było myśleć, to bliski obiad. Jody wsunął się do kuchni.

— Dzień dobry mamo, wróciłem.

— Więc co z tego, mam śmiać się czy płakać?

Matka pochyliła tęgą postać nad kuchnią. Dzień był upalny, a pot ciurkiem ściekał po tłustym karku Ma Baxter.

— Takto ustrzelił nam coś dobrego, prawda mamo?

— Tak. I to dobre jeszcze, że ciebie przy tym nie było.

— Mamo...

— Co znowu?

— Czy będziemy mieli dziś na obiad jelenie mięso?

Odwróciła się od ognia.

— Na miłość boską, czy ty zawsze musisz myśleć tylko o swym pustym kałdunie?

— Bo ty tak świetnie gotujesz dziczyznę.

Udobruchała się.

— Tak, będziemy mieli mięso na obiad. Bałam się, że może się zepsuć, bo gorąco dziś.

— Prawda! I wątroby też nie powinno się odkładać, bo gotowa się zepsuć.

— Zmiłuj się chłopcze, przecież nie możemy zjeść całego jelenia na raz. Ale jeżeli napełnisz mi dziś skrzynię na opał, to kto wie, może wątroba będzie na kolację...

Jody wiązł między naczynia kuchenne.

— Wynoś się w tej chwili niecnyduszo! Jak mnie zamęczysz to kto będzie obiad gotował? — krzyknęła Ma.

— Jahym ugotował.

— Tak, ty, z psami do spółki!

Wybiegł z domu i odszukał ojca.

— Jak się czuje stara Julia?

Wydawało mu się, że chyba od tygodnia nie był w domu.

— Lepiej. Teraz niech sobie miesiąc odpocznie, a da potem radę Slewfootowi.

— Tato, czy Forresterowie chcą nam pomóc w polowaniu na Slewfoota?

— Nie zawierałamy umowy. Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby sobie polowali na własną rękę, a mnie dali święty spokój. Nie wiele mnie obchodzi kto go w końcu ubije, byle by niedźwiedziako trzymał się zdala od naszej trzody.

— Tato, a nie mówiłem ci jeszcze o tym. Miałem wtedy piętra, kiedy psy z nim walczyły. Taki mnie strach obiegał, że nie mogłem się ruszyć z miejsca i uciec.

— I ja nie tego czulem się wówczas, kiedy tusia zawiodła.

— Ależ opowiadał Forresterom tak, jak gdybyśmy byli nieustraszeni.

— Tak, synku, tak to już się po myśliwsku opowiada.

Jody obejrzał dokładnie skórę jelenia. Była duża i piękna, o czerwonawej barwie wiosennej. Zwierzęta z puszczy wydawały się Jodyemu dwoma odmiennymi rodzajami stworzeń. Na polowaniu były po prostu łupem myśliwskim. Pragnął jedynie widzieć jak padają, zwalone celnym strzałem. Kiedy już leżały martwe, zbroczone krwią, było mu ich żal. Serce bolało na widok martwej śmierci, lecz gdy były pocięte na części, uwędzone, posolone i uwędzone, albo ugotowane lub upieczone w pachnącej kuchni czy na rożnie nad ogniskiem w polu, stawały się mięsem ot, takim samym jak wieprzowina i tylko ślinka szła człekowi do ust. Dziwił się niekiedy, jakim cudem odbywa się ta przemiana. Jak to się dzieje, że to samo, co go przed godziną gniotło w dołku i przyprawiało o mdłości, po pewnym czasie budziło potężny apetyt. Wynikało stąd jak na dłoni, że albo były to dwa odmienne rodzaje zwierząt, albo dwaj imi chłopcy...

Tylko skóry nie zmieniały się, zachowywały swe samolubne życie. Kiedykolwiek stawał bosymi nogami na miękkiej skórze jeleniej, leżącej przed łóżkiem, spodziewał się w głębi duszy, że za chwilę skóra poruszy się pod nim. Łączyła się z tym jeszcze jedna sprawa. Otóż Penny, aczkolwiek niewielkiego wzrostu, miał pierś porosłą gęstym, czarnym włosem. Jako dziecko sypiał podobno zimą nago owinięty w niedźwiedzią skórę, grzejącą wielkim futrem. Ma Baxter twierdziła, że od tego właśnie wyrosły Pennyemu kłaki na piersi. Podżartowywała sobie, ale Jody brał to na pół serio.

Dom był tak obficie zaopatrzony, jak u Forresterów. Ma Baxter przerobiła tuszę macior, zabitej przez Slewfoota, na wędliny i kiełbasy. Nadziane jelita wisiały rzędem w wędzarni. Trzaskał pod nimi i dymił wolny ogień jałowca. Penny wszedł i dorzucił garść włórów w dymiący żar.

— Czy mam narąbać drew, czy skończyć okopywanie kukurydzy? — zapytał Jody.

— Wolne żarty, wiesz przecież, że nie mogłem pozwolić na to, by chwasty zarosły pole. Skończyłem okopywanie. Raczej przydałoby się drzewo.

Jody zadowolony był z nadarzającej się pracy drewnami. Bowiem, gdy chwilę tylko stał bezczynnie, już mu głód skręcał kiszki i zmuszał do żucia mięsa aligatora, przeznaczonego dla psów, albo do pochlerania kukurom resztek kukurydzianego chleba.

W skupieniu rozkoszał siekierę i zabrał się do roboty. By mieć pozór do zerkniecia, jak się przedstawia sprawa obiadu, zaniósł matce do kuchni spore naręcze drew. Ciężar spadł mu z serca, kiedy zobaczył, że obiad jest na stole. Matka zaparzała kawę.

— Poproś ojca — powiedziała — i umyj potworne łapy. Jestem pewna, że nie tknął wody od chwili gdyś wyszedł wczoraj z domu.

Nareszcie Penny przyszedł. Udziec jelenі zajmował honorowe miejsce pośrodku stołu. Penny dobył wielkiego noża i powolnym ruchem, który doprowadzał Jodyego do rozpaczy, pokrajał i rozdzielił mięso. c. d. n.

# KSIĄŻKI

**John Stuart Mill, Autobiografia**, przekład wstęp i uwagi Mieczysława Szereja, okładkę projektował A. Bowbelski, Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza", Warszawa 1946, str. 206.

John Stuart Mill jest jednym z czołowych myślicieli angielskich epoki wiktoriańskiej. Jako autor „Systemu logiki", „Zasad ekonomii politycznej" oraz innych dzieł filozoficzno-ekonomicznych, wywarł duży wpływ na umysłowość angielską i rozwój stosunków społeczno-politycznych w Anglii XIX go stulecia.

„Autobiografia" Milla jest interesująca przez to, że odsłania kulisy wychowania, dzięki któremu jej autor stał się jednym z najbardziej wykształconych ludzi swojego wieku. John Stuart urodził się jako syn wybitnego ekonomisty i historyka, autora fundamentalnej „Historii Indyj", Jamesa Milla, człowieka o silnej woli, który poświęcił wychowaniu syna dużo czasu i energii.

James Mill był człowiekiem niezwykle wymagającym. Dość powiedzieć, że był z synem ciągle niezadowolony, mimo, że ten między ósmym i dwunastym rokiem życia — poza nauką innych przedmiotów — przeczytał po łacinie większą część utworów Horacego, Wergiliego, Liwiusza, Owidiusza, Cycerona i innych, a po grecku — Iliadę i Odyseję, kilka utworów Sofoklesa, Eurypidesa i Arystofanesa, całego Tucydydesa, wielu innych autorów, a nawet poważny traktat etyczno-psychologiczny, „Retorykę" Arystotelesa.

John Stuart, którego „Autobiografia" jest właściwie pomnikiem wystawionym ojcu, nie tylko nie ma o to do niego pretensji, ale w pewnym miejscu pisze, że „uczeń, od którego nie wymaga się nic takiego, czego nie może zrobić, nie zrobi nigdy wszystkiego, co może". Słusznie zaznacza tłumacz i komentator „Autobiografii", Mieczysław Szerer, że to „krótkie zdanie odsłania bardzo męski i bardzo dobroczynny pogląd na wychowanie: pogląd, dzięki któremu przysparza się narodowości dzielnych ludzi".

„Autobiografia" Johna Stuarta Milla jest — dzięki uczciwemu stosunkowi jej autora do pracy i spraw ludzkich — dobrą szkołą wychowania obywatelskiego i dobrą szkołą charakterów.

Potrzebnym i wartościowym wprowadzeniem do książki jest przedmowa tłumacza Mieczysława Szerera i jego uwagi, wyjaśniające trudniejsze miejsca „Autobiografii". W przedmowie tłumacz umiejętnie podmalował tło społeczne i umysłowe epoki, w której działali ojciec i syn Millowie.

◆

## Pogodny surrealista

**Tadeusz Kwiatkowski, Lunapark.** Okładka i ilustracje Anny Seifert. Sp. Księg. „Czytelnik", Kraków, 1946, str. 167.

Powojenna literatura polska reprezentuje tendencje realistyczne tzn. podejmuje zagadnienia powszechne, opisuje życie „takim, jakie ono jest" i stara się być zrozumiałą dla przeciętnego czytelnika. Powojenny realizm wyrósł z chęci ukazania prawdy koszmarnych dni okupacji, a z drugiej strony jako reakcja na literaturę surrealistyczną lat przedwojennych. Literatura surrealistyczna operowała niezwykłymi środkami mowy, ukazywała w fantastycznych wydarzeniach bezsens świata i beznadziejność życia ludzkiego. Pesymizm tej literatury udzielił się częściowo obecnej literaturze realistycznej, ale nie podziela go autor „Lunaparku", pierwszej powojennej noweli surrealistycznej. „Lunapark", opis wielkiej wędrówki po niebie jest dziełem pogodnym, choć nieco ironicznym. Dla czytelnika, przyzwyczajonego do łatwej literatury, „Lunapark" będzie lekturą trudną. Czytelnikowi, obeznanemu z twórczością dwudziestolecia międzywojennego, „Lunapark" będzie przypominał nie Schultza i nie Gombrowicza, lecz raczej „Porfirionа Osiołka" K. I. Gałczyńskiego.

*Jeńcy*

*W drodze na Wał Pomorski*

## WYSTAWA ARTYSTY MALARZA-ŻOŁNIERZA

W Domu Wojska Polskiego otwarta została wystawa prac Włodzimierza Zakrzewskiego. Wystawa obejmuje dorobek twórczy artysty od 1939 roku, poprzez pobyt w Związku Radzieckim i służbę wojskową, aż po dziś dzień.

Widzimy na wystawie owoce pierwszych prób malarskich i jesteśmy świadkami szybkiego dojrzewania artysty.

Wśród ponad dziewięćdziesięciu eksponatów mamy obrazy olejne, akwarele, rysunki i pastele.

Większość z nich powstała w bardzo trudnych warunkach wojennych, co z natury rzeczy musiało się odbić na ich opracowaniu i wykończeniu. Setki portretów wykonał Zakrzewski na froncie, gdzie rozdał je modelom — bohaterom walk.

Z obrazów na pierwszy plan wysuwają się „Jeńcy". Jest to — jak pisze Zakrzewski w katalogu — próba syntezy wrażeń frontowych dotyczących tego ciekawego tematu.

Na opanowanie techniki malarskiej i zręczne operowanie kolorami wskazują także obrazy, jak „Kwiaty", „Ruiny", „Portret brata", „Portret żony" i inne.

Na specjalną wzmiankę zasługują plakaty. Niektóre z nich: LOT, Kołobrzeg i inne świadczą o dużych zdolnościach Zakrzewskiego w tym kierunku.

*Autoportret*

# Berlin

Wybitny satyryk rosyjski M. E. Sałtykow (pseudonim N. Szczedrin) urodził się w r. 1826.

W latach 1847—48 ukazały się pierwsze jego powieści „Sprzeczność" i „Pogmatwana sprawa", w których autor występuje przeciwko nierówności społecznej, deklarując się zdecydowanie po stronie ludzi pracy.

Szczególnie ostrym pamfletem na władze carskiej Rosji jest „Historia pewnego miasta", w której Sałtykow-Szczedrin rysuje galerię władców miasta Głupowa.

Książka „Zagranicą", której fragment dzisiaj drukujemy, przedstawia współczesne Sałtykowi bismarckowskie Niemcy (po wojnie francusko-pruskiej 1870—71 r.) jako wcielenie wojującego militaryzmu. Sałtykow wyśmiewa w niej tępą butę i pruskie wojenne ideały.

W jednym z niezliczonych hoteli w Niemczech jadłem kiedyś obiad w dużej kompanii Rosjan. Siedziałem na samym skraju stołu, a obok mnie ulokował się jakiś nieznajomy młodzieniec...

Między Rosjanami toczyła się ożywiona dyskusja na temat: do czego właściwie potrzebny jest Berlin (wielu twierdziło, że do zabijania ludzi). W pewnej chwili podałem mojemu białowłosemu sąsiadowi jakąś potrawę. I niespodzianie, w odpowiedzi na moją uprzejmość, usłyszałem od niego po rosyjsku:

— Dziękuję panu!

Było to dla mnie tak nieoczekiwane, że zawołałem omalże w przerażeniu:

— A jednak, bracie, ty... skąd to do pana, mein herr!

Na co młodzieniec, wcale nie zmieszany, skromnie odpowiedział:

— Ja żołnierz, my uf Berlin troszku uczym po rosyjsku... na wszelak wypadek!

Ot, w czym rzecz...

Rozumie się, że nie omieszkałem tego powtórzyć moim towarzyszom podróży, którzy stanęli na stanowisku, że jest to jeszcze jeden dowód, potwierdzający tylko co powziętą decyzję: tak, Berlin nie jest potrzebny do niczego więcej, jak tylko do zabijania ludzi...

Dzisiaj ze wszystkich sympatycznych cech pozostała Berlinowi tylko jedna, najmniej sympatyczna: ból głowy, który ołowianą chmurą ciąży nad miastem. Wszystko inne zmieniło się radykalnie. Nieśmiałość ustąpiła miejsca zarozumiałości, polityczny oportunizm — niczym nieusprawiedliwionym pretensjom do panowania nad światem, skromność — niefortunnej chęci zaimponowania cudzoziemcom mieszczańskim zbytkiem nowych dzielnic i jakąś pośledniego gatunku rozpustą, której szkaradny cynizm na próżno stara się zachmić ładny i błyskotliwy cynizm paryski. Już podjeżdżając do Berlina, cudzoziemiec czuje, że powiało na niego nudą i oficerską zarozumiałością. A ponieważ ani jedno, ani drugie nie ma w sobie nic pociągającego, podróżny spieszy do pierwszego lepszego hotelu, żeby się oczyścić i wyspać, po czym wcale nie zwlekając jedzie dalej.

Trudno wyobrazić sobie coś bardziej ponurego, aniżeli ulice Berlina. Na brak ruchu, oczywiście, skarżyć się nie można (nie może przecież nie być ruchu w mieście o milionowej prawie ludności), lecz jest to jakiś niespokojny, wymęczony ruch, jak gdyby wszystkim tym poruszającym się tam i z powrotem ludziom śmiertelnie chciało się dokądś to uciec. Za każdym odjeżdżającym ekwipażem chce się zawołać: „Szczęściarzu, zostawiasz Berlin już na zawsze!" Ani zgiełku, przypominającego pszczeli ul (taki zgiełk słyszy się niekiedy w uzdrowiskach, a zawsze w Paryżu), ani tego żywego związku między ulicą i okalającymi ją domami, który tworzy z nich jakby nierozerwalną całość — tego wszystkiego nie ma. Tylko nieprzerwany, milczący, jednostajny ruch — i nic więcej...

Odpowiednio do ulic, i sklepy berlińskie wyglądają posępnie, choć jest wśród nich spora ilość obszernych i zawalonych towarem. To raczej składy niż sklepy. Może i znajdziesz w nich coś odpowiedniego; ale nawet zajrzeć się do nich nie chce, gdyż zanim dobierzesz się do rzeczy odpowiednich, (a spytajcie jakiejś damulki, czy ona wie, co jest dla niej „odpowiednie"), napewno przedtem sto razy przeklniesz dzień swoich urodzin...

W Berlinie można kupić koldrę, ale nie do okrywania pościeli w dzień, można kupić gumową piłkę, lecz tylko dla dzieci ubogich rodziców, można wkońcu kupić kiełbasę, ale nie taką, żeby można nią było poczęstować ludzi, którym się dobrze życzy, lecz taką, którą można od biedy zjeść samemu, przy zamkniętych drzwiach, a gdy bóle żołądka przeminą — zapomnieć...

Ale najbardziej przygniatającym elementem ulicznego życia w Berlinie są wojskowi. W porównaniu z Petersburgiem, wojskowy garnizon Berlina nie jest o wiele liczniejszy, ale cy ciała pruskich oficerów są większe, czy piersi ich obszerniejsze, dość, że robi się doslownie ciasno, gdy przez ulicę przechodzi pruski oficer. Ubrany jest jakoś dziwacznie, jego umundurowanie przypomina nasze wojskowe surduty i czapki lat czterdziestych, pierś wypięta kuliście, wąsy zakręcone w kółeczko... Idzie rumiany, tęgi, zadowolony, jakby tylko co otrzymał pensję, co mu, nawiasem mówiąc, wcale nie przeszkadza odnosić się do bliźnich surowo i popędliwie...

Ilekroć przechodzę koło berlińskiego oficera, zawsze się detonuję. Także w Baden-Baden czy w Ems robiło mi się straszno, gdy sprowadzano do zakładu zdrojowego z Rasztatu albo Koblencji kilkudziesięciu oficerów, ażeby sprawić przyjemność a les dames. Nie dlatego straszno, jakobym bał się, że oficer zawezwie stójkowego, ale dlatego, że całą swoją postawą, zachowaniem się, wypiętą piersią, wygolonym podbródkiem kłuł mnie w oczy: „Ja — bohater!" Zdaje mi się, że gdyby zamiast tego powiedział do mnie: „Jestem bandyta i zaraz cię zacznę obdzierać ze skóry" — było by mi lżej. Ale „bohater" to przecie nie żarty... Niech sobie bohaterowie rozmawiają między sobą i niech się jeden zachwyca drugim, niech czytają Plutarcha, przypominają sobie anegdoty z życia starożytnych i nowych bohaterów i w ogóle podsycają w sobie chęć do zniszczenia „odwiecznego wroga" (a któż nie jest dziś „odwiecznym" wrogiem w oczach pruskiego oficera!). Ale niech nie pokazują się w dzień na ulicy, niech mnie, spokojnemu i skromnemu kielbaśnikowi, nie przypominają ciągle o tym, że mogę każdej chwili zginąć, jak robak, jeśli nie będzie mnie strzegło czujne oko jego — bohatera!

Nasz rosyjski oficer nigdy nie robił na mnie tak przygnębiającego wrażenia. Przede wszystkim, ma mniejszą objętość i nie ma takich piersi, po drugie stanowczo nikogo nie kłuje w oczy: „Ja bohater!" Rosjanin zdolny jest do prawdziwego bohaterstwa, ale to mu nie wypina piersi ani nie zmusza go do wytrzeszczania oczu. On traktuje bohaterstwo bez poufałości i jasno rozumie, że to wcale nie taka pospolita rzecz, którą można zawsze ze sobą nosić razem z resztą uzbrojenia. W przeciwieństwie do tego, Prusak jest pewny, że skoro go już, z rozkazu dowództwa, zaliczono między bohaterów, skoro wzniesiono mu pomnik na Placu Królewskim, to musi godnie obnosić ten tytuł nie tylko na ulicach, ale i w ogródkach kabaretowych. Jasne, że zwykłych ludzi to krępuje.

Może dlatego właśnie berlińska zabawa ma tak nieszczery, posępny charakter. Jak tu się szczerze bawić, kiedy tuż obok nas sterczy „bohater", który — tylko czekać — zacznie perorować na temat Worthe albo Sedanu *). A nie bawić się — nie wolno. Po pierwsze, współczesny berlińczyk jest nazbyt zbałamucony opowiadaniami o uciechach Paryża, aby nie spróbować zaprowadzić u siebie czegoś na paryską modłę. Po drugie, jeżeli nie będzie się cieszył, to czy nie powie o nim Europa: ot, przemierzył z mieczem i ogniem pół cywilizowanego świata, a pozostał tym samym tępogłowym berlińczykiem. A po trzecie, czyż nie zapytają i sami „bohaterowie": Jak to? Zarzuciliśmy was laurami, a wciąż chodzicie jak zaspani — czyżby trzeba było zniszczyć jeszcze jakiś kraj, ażeby was rozbudzić? I oto berlińczyk zaczyna się bawić.

Jednym słowem, pytanie: do czego potrzebny jest Berlin? — okazuje się wcale nie tak błahe, jakby to się na pierwszy rzut oka wydawało. Ale i odpowiedź nie jest zbyt trudna, gdyż cała istota współczesnego Berlina, całe jego światowe znaczenie ześrodkowuje się obecnie w gmachu, który widać z perspektywy Placu Królewskiego i który nosi nazwę: Sztab Generalny.

*) Miejscowości znane z wojny prusko-francuskiej — 1870 roku.

# BERLIN ZWYCIĘŻONY

TEMPELHOF mieści się na południu miasta. Karlhorst, cel naszej podróży — we wschodniej części. Przejeżdżamy spory kawał Berlina. Szczególnie interesujący jest widok Berlina dla tych, którzy go jeszcze nie widzieli po naszym zwycięstwie — dla amerykańskich i angielskich delegatów. Gdzieniegdzie jeszcze nie ugaszono pożarów. Z niektórych wejść do metro — z niepozornych, standaryzowanych stacyj — wydobywa się dym. Miejscami szyny metro wychodzą na powierzchnię i biegną dalej, podparte żelaznymi słupami, na poziomie czwartego piętra. Z tej nadziemnej linii pozostały tylko fragmenty.

Delegaci niemieccy nie utrzymali się w przybranej na lotnisku pozie monumentalnego spokoju. Przylgnęli do szyb samochodowych. Widzą olbrzymie zwaliska ruin. Widzą berlińczyków, uprzątających jezdnię z cegieł i gruzu. Oto kilku Niemców grzebie w ruinach sklepu pod firmą „Delikatesy" i nieustannie wsuwa coś w kieszenie i koszyki. Może w tej chwili generał-feldmarszałek Keitel myśli o swoim niedawno wydanym rozkazie, w którym pisał: „W ewakuowanych dzielnicach Niemiec, zagrożonych strefie działań wojennych, żołnierze niemieccy, winni najcięższych przestępstw w stosunku do mienia niemieckich współobywateli... Maruderstwo i przestępstwa wobec własnych niemieckich współobywateli podlegają karaniu najsurowszymi środkami. Tylko w wyjątkowych wypadkach nie będzie stosowana kara śmierci".

Jedziemy długą i szeroką Skalitzerstrasse wzdłuż linii miejskiej kolei żelaznej. Biegnie ona nad miastem na wysokości siedmiu metrów. Sznur maszyn długim, lakierowanym wężem wije się między jej powalonymi słupami.

Przebywamy wąską, brudną Szprewę mostem, którego Niemcy nie zdążyli wysadzić.

Hertnerstrasse. I tutaj tłumy Niemców zajmują się toaletą swojej rozkruszonej stolicy. Tu i ówdzie podniesieni na duchu właściciele piwiarń usiłują uruchomić neonowe szyldy. Berlińskie mrowisko kipi. Niemcy bezustannie łażą tam i z powrotem. Pośpiesznie zmieniają miejsca zamieszkania, sąsiadów, przyjaciół. Powszechne przetasowanie. Nasze komendantury wojenne na terenie Niemiec zawalone są wzajemnymi niemieckimi donosami.

Nieoczekiwane spotkanie. Długi pochód cudzoziemców, oswobodzonych z hitlerowskich obozów. Barwy wszystkich narodów — jugosłowiańskie, włoskie, francuskie, holenderskie i inne powiewają nad ręcznymi wózkami, nad rowerami, nad wózkami dziecięcymi, w których wyzwoleni wiozą swój dobytek. Na słupie wielojęzyczne napisy ze strzałką orientacyjną: „Do miejsca zbiórki obywateli ZSRR i innych państw". Delegaci niemieccy odwracają głowy. Na przeciwnej stronie ulicy wielki Murzyn z poczciwą i pogodną, jak u dziecka, twarzą, ujrzawszy auto z oficerami radzieckimi, entuzjastycznie macha ręką. Delegaci niemieccy odwracają głowy.

Wjeżdżamy w szeroką Frankfurterallee. Zaczyna się tu najmniej zniszczona część Berlina. Stoi dużo całych domów. Powiewają na nich chorągwie, białe i nawet czerwone, te zresztą z wyraźnymi śladami po tylko co wyprutych swastykach. Z szeroko otwartych okien wychylenie Niemcy gapią się na naszą kolumnę.

Stojący przed studniami ulicznymi w długich kolejkach Niemcy porzucają swoje kolejki, decydują się nawet wzrok oderwać od widoku regulującej ruch kobiety-żołnierza, na którą wybałuszają oczy godzinami — i grupują się wzdłuż chodników na trasie przejazdu naszych maszyn. Daremnie delegaci niemieccy opuszczają głowy, próżno intensywnie wycierają nosy, usiłując zasłonić się chusteczkami przed swoim narodem. Berlińczycy poznali ich. Widać to po raptownym ożywieniu, z jakim zaczynają rozmawiać między sobą i pokazywać jeden drugiemu samochód z niemieckimi pełnomocnikami. Nie powiedziałbym, że twarze Niemców wyrażały przy tym smutek. Stale ta sama potulnie przypochlebna mina z domieszką zadowolenia, jakie daje zazwyczaj obserwowanie ciekawego widowiska.

Nie wszyscy jednak wykazują takie zainteresowanie naszą procesją aut. Na murach Berlina istnieje silniejszy magnes: rozkazy komendanta Berlina, generała Bierzanina. Przed nimi tłumy Niemców. Czytają te rozkazy — to jest za słabe określenie. Oni je studiują. Jeden z Niemców ogląda się i, obrzuciwszy Keitla roztargnionym spojrzeniem, znowu zagłębia się w lekturę. Keitel — to przeszłość. Berlińczyka nie interesuje przeszłość Niemiec. Interesuje go ich teraźniejszość i przyszłość. A to tkwi w rosyjskich rozporządzeniach.

Znowu spotkanie. Tym razem idzie długa kolumna jeńców wojennych. Czy dlatego, że Niemcy przyzwyczaili się do tego widoku, czy też z powodu jakiejś wyłącznie niemieckiej, dla nas mało zrozumiałej, bezduszności — Niemcy nie zwracają żadnej uwagi na swoich rodaków — jeńców. Zauważyłem to zjawisko niejednokrotnie i nie tylko w Berlinie. Od czasu do czasu jakaś gospodyni wyniesie na brzeg chodnika wiadro z wodą i kubek — przeważająca większość traktuje jeńców ze zdumiewającą obojętnością, nawet nie patrzy na nich.

A i jeńcy także nie patrzą na swoich wolnych ziomków i wloką się ze zwieszonymi głowami. Zresztą tu, na Frankfurterallee, wielu jeńców zauważyło maszyny z niemieckimi generałami. Widziałem, jak jeńcy podnosili ręce — nie dla pozdrowienia, ale ruchem gniewnej groźby wobec swoich byłych dowódców. Wywołało to w samochodach niemieckich delegacji nowy atak „katarów".

**LEW SŁAWIN**

**Przekład Wandy Odolskiej.**

*Podpisanie kapitulacji. Marszałek Żukow*

*Berlin 1945: Parada Czerwonej Armii*

*Berlin 1945: Ostatnia parada.*

*Z reportażu p. t. „Ostatnie dni faszystowskiego imperium".*

# UWAGA na Niemcy!

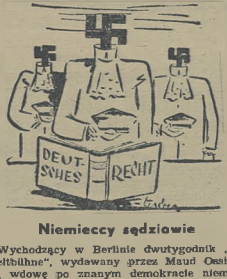


## Niemieccy sędziowie

Wychodzący w Berlinie dwutygodnik „Die Weltbühne", wydawany przez Maud Cieślitzky, wdowę po znanym demokracie niemieckim, zamieścił w n-rze 6. charakterystyczne p. t. „Sędziowie republiki" (Richter der Republik), w którym poddaje druzgoczącej krytyce chwiejność i brak postawy moralnej w sądownictwie niemieckim przed dojściem do władzy Hitlera.

Było to — pisze autor artykułu — sądownictwo republikańskie bez republikanów. Ambicja, strach i duchowa nikczemność pędziła te prawdziwie niepolityczne postacie w szeregi partii hitlerowskiej. Byli to ludzie bez odwagi cywilnej, z ograniczonym horyzontem, bez uczuć dla ustroju, o którego wolności aż się rozpływali a której sobie w ogóle nie uświadamiali. Byli to technicni fachowcy, pozbawieni zupełnie charakteru. Gdy popadli w całkowitą zależność od partii, stosowali z zamiłowaniem zasady gwałtu, ubrane w normy prawne. I tą drogą szli dalej, gdy przekonali się wreszcie, do czego ich się właściwie używa. Przy boku urzędników administracji państwowej sędziowie niemieccy z czasów weimarskich poszli zupełnie na lep fuhrera. Siła imponowała im już zawsze więcej, aniżeli prawo. Hitler przejrzał odrazu swoich świątobliwych pomocników. Kiedy w r. 1933 odbył się w Lipsku pierwszy zjazd prawników Trzeciej Rzeszy pod egidą celawionego von Potempy, prawnicy niemieccy defilowali w karnych szeregach z podniesioną prawą ręką przed Hitlerem. Na trybunie znajdował się wówczas „wódz prawników Rzeszy" (Reichsjuristenführer) późniejszy gubernator generalny Polski, Hans Frank. Z dumą odezwał się wtedy: „Szkoda, że niema tu Goringa, pokazałbym mu, jak świetnie maszerują moi radcy sądowi". I istotnie — kolumny „Die Weltbühne", prawnicy niemieccy maszerowali równym krokiem ze zbrodniczym systemem hitlerowskim aż do jego końca".

Od siebie możemy dodać na podstawie obserwacji dzisiejszych Niemiec, że sądownictwo niemieckie również obecnie jest jaknajdalsze od demokratycznych zasad sprawiedliwości i prawa. Długo jeszcze potrwa, nim naród niemiecki, który w ciągu swych krwawych dziejów stawiał zawsze siłę nad prawem, zrozumie, że droga jego do rodziny narodów prowadzić może tylko przez poszanowanie i stosowanie prawa.

## Książę - Zbrodniarz →

Jednym z głównych oskarżonych w procesie oprawców hitlerowskich z obozu koncentracyjnego w Buchenwald, jest także książę niemiecki „Prinz Josias zu Waldeck SS-Obergruppenführer u. General der Waffen SS und Polizei" — jak brzmiał jego pełny tytuł za czasów panowania Hitlera. Ten zwyrodniały książę, na którego sadystycznym obliczu maluje się teraz strach przed groźnym mu stryczkiem, jest odpowiedzialny za „marsz śmierci" więźniów przy zbliżaniu się Aliantów. Waldeck zarządził ewakuację obozu i wysłał wygłodniałych i skatowanych więźniów na niezbyt długą śmierć w czasie forsownych marszów pieszych.

## Lekarz przyboczny Himmlera

W procesie przeciwko ludobójcom w kitlach lekarskich w Norymberdze pośród 23 oskarżonych zbrodniarzy znajdował się również lekarz przyboczny Himmlera, prof. dr. Karl Gebhardt. Ojciec jego był lekarzem domowym rodziny Himmlerów w Monachium, stąd też przyjaźń Gebhardta z Himmlerem datuje się od młodych już lat. 50-letni profesor i lekarz, który stoi pod zarzutem niezliczonych eksperymentów na więźniach obozów koncentracyjnych, występuje przed sądem pewny siebie, arogancki i zimno odpowiada na krzyżowe pytania oskarżyciela amerykańskiego. Jest to typowy przedstawiciel hitlerowskiej „rasy panów".

Na pytanie, czy uważałby za zbrodnię dokonywanie takich „doświadczeń" na osobach, zmuszonych do poddania się tym eksperymentom, Gebhardt odpowiada, żując nieustannie gumę i ważąc każde słowo:

„Gdyby państwo je zalegalizowało, uważałbym to za zupełnie dopuszczalne".

Do zbrodni ów lekarz Himmlera nie przyznaje się, podkreślając stale, że wszelkie dyspozycje wychodziły od Himmlera, który dążył do wytworzenia specjalnej narodowo-socjalistycznej wiedzy (SS-Wissenschaft) i gromadził wokół siebie pseudonaukowców, którzy zachęcali Himmlera do podejmowania badań naukowych na polu medycyny i inicjowali najrozmaitsze doświadczenia. Gebhardt zaznacza też, że inicjatywa do eksperymentów sulfonamidowych na 60 Polkach w Ravensbruck wyszła od lekarza państwowego SS (Reichsarzt) Grawitza, który zgodził przeprowadzenia tych zbrodni w warunkach absolutnie „wojennych" z wprowadzeniem do ran brudu, odłamków szkła itd. W ten sposób — mówi Gebhardt z cynizmem — dano ofiarom szansę ułaskawienia.

Na pytanie prokuratora amerykańskiego Mac Haney, na czym ta szansa polegała, Gebhardt nie umie znaleźć odpowiedzi, ponieważ „w tej sprawie musiał polegać całkowicie na Himmlerze".

W prowokacyjny wręcz sposób zarzucił Gebhardt oskarżycielom swoim niezna jomość medycyny, w przeciwnym razie nie mógłby on być w ogóle pociągany do odpowiedzialności za doświadczenia, które nie miały nic wspólnego z męczeniem ludzi!

Ohydne, mrożące krew w żyłach, zbrodnie, dokonywane na niewinnych ofiarach przemocy i gwałtu hitlerowskiego, były według oceny takich jak Gebhardt „lekarzy" niemieckich wręcz dobrodziejstwem dla ludzkości. O swojej przynależności do partii hitlerowskiej, lekarz przyboczny Himmlera mówił, że „obowiązkiem każdego profesora niemieckiego było wstąpienie do partii".

Himmlera charakteryzuje jako „typową drugą postać każdej rewolucji". Himmler uważał się za generała zakonu SS, którego wzrok skierowany był wyłącznie na swego wodza — Adolfa Hitlera.

Procesy przestępców hitlerowskich odsłaniają nam ponure i krwawe widowisko, które pod nazwą „Trzeciej Rzeszy" rozgrywało się na arenie świata, a którego ceną było męczeństwo i śmierć milionów niewinnych ludzi oraz ruina i zniszczenie, spowodowane przez naród, opętany przez bandę wyuzdanych i zdegenerowanych, pozbawionych wszelkich uczuć ludzkich, zbrodniarzy.

## PŁASZCZ NIEPRZEMAKALNY

Nasza kapryśna wiosna zmusza nas do posiadania jakiejkolwiek ochrony od deszczu: nieprzemakalnego płaszcza, gumowej peleryny lub parasolki.

Parasol — to już prawie anachroniczny przeżytek, który zgoła „nie przystoi" młodym dziewczętom; zresztą jest to istotnie balast uciążliwy, gdyż mamy i tak co nosić w ręku: torebkę, worek na sprawunki czy teczkę z książkami. Pozostaje więc do wyboru gumowa peleryna (musi być jednak w najlepszym gatunku, gdyż malowartościowa gumna czy celofan łatwo pęka) lub nieprzemakalny płaszcz.

Najmilszy bez wątpienia jest płaszcz nieprzemakalny) w pelerynach wyglądają korzystnie tylko b. szczupłe i wyszkie sylwetki) o kroju sportowym, ściągnięty w talii paskiem. W płaszczu wygląda się zręcznie i młodo, przy tym ma on podwójne zastosowanie, gdyż można go włożyć nawet w chłodniejszy dzień bezdeszczowy. Komu do twarzy w kapturze — zrobi sobie kaptur przypinany w razie potrzeby do płaszcza na guziki. Kto nie lubi kapturów — poprzestanie na wygodnym, miękkim berecie z tego samego nieprzemakalnego materiału co płaszcz — w razie ulewy można pod beret wszystkie włosy schować.

Na załączonych rysunkach widzimy: 1. Model płaszcza nieprzemakalnego z szarego płótna z rękawami wszytymi reglanem. 2. Elegancki płaszczyk z impregnowanej tkaniny w drobniutką krateczkę szaro-czarną o modnym kroju karczka, imitującym bolerko.

Peki

# ROZRYWKI UMYSŁOWE

## KWADRAT MAGICZNY

Litery, zna[illegible] po- [illegible]

## SKAKANKA

Przeskakując stale jednakową ilość liter (w prawo) — odczytać znane przysłowie polskie.

## KONIKÓWKA

Ruchem konika szachowego odczytać „złotą myśl" Stefana Żeromskiego.

## UKŁADANKI

1. Zwierz drapieżny + miara powierzchni = Przyrząd do podnoszenia ciężarów.
2. Bożek grecki — część dzieła + zdrobniałe imię żeńskie = Przedstawienie sceniczne bez słów.
3. Kolor w kartach + szereg, następstwo = Część samochodu.
4. Barwa twarzy + minerał łupliwy = Garncarstwo artystyczne.
5. Pierwiastek chemiczny + wódz tatarski = Tkanina bawełniana.
6. Ptak + zwierzę = Szczudło, kij do podpierania.

---

Rozwiązanie powyższych zadań przesyłać należy najpóźniej do dnia 3 czerwca br. pod adresem Redakcja tygodnika „Świat Młodych", Warszawa, ul. Grażyny 8, z dopiskiem „Rozrywki umysłowe". Za rozwiązanie ich przyznane zostaną nagrody książkowe.

Jednocześnie przypominamy, że w numerze 9 „Świata Młodych" ogłosiliśmy „konkurs wytrwałości", który polega na rozwiązaniu jak największej ilości zadań z nr.nr. 9, 10, 11 i 12, a dla zwycięzców przeznaczone są specjalne nagrody.

# MOTORY GRAJĄ...

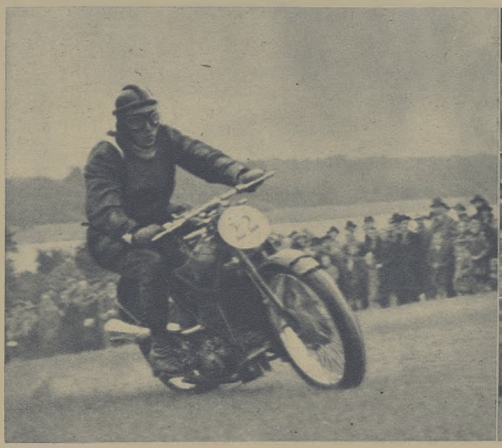

FOTO FILM POLSKI

Sezon motorowy już się rozpoczął. Na szosach całej Polski słychać mocny rytm cylindrów licznych maszyn turystycznych i nielicznych wyścigówek.

Dowodem żwiołowego rozwoju motocyklizmu w Polsce powojennej jest fakt, że do Polskiego Związku Motocyklowego należy 160 klubów i sekcji motorowych, zrzeszając przeszło 6 tysięcy aktywnych członków.

Tegoroczny sezon zapowiada się bardzo bogato i interesująco. Z 16-tu wyścigów ulicznych wyróżniają się: „Złoty Kask" Poznania (15 czerwca), „Puchar Bałtyku" w Sopocie (29 czerwca), „Tourist Trophy" w Wiśle (13 lipca), „Grand Prix Polski" (3 sierpnia) i Mistrzostwa Tatr (21 września). Przewidywane są także liczne zawody na torze żużlowym, kuluminacyjnym punktem których będzie finał drużynowych mistrzostw Polski w Warszawie (22 lipca). Na czoło imprez raidowych wysuwa się V Raid Tatrzański (15—17 sierpnia), będący eliminacją do sześciodniówki motocyklowej organizowanej przez Czechosłowację (16—21 września).

# TAKIE EWOLUCJE PRZECHODZIŁ ROWER

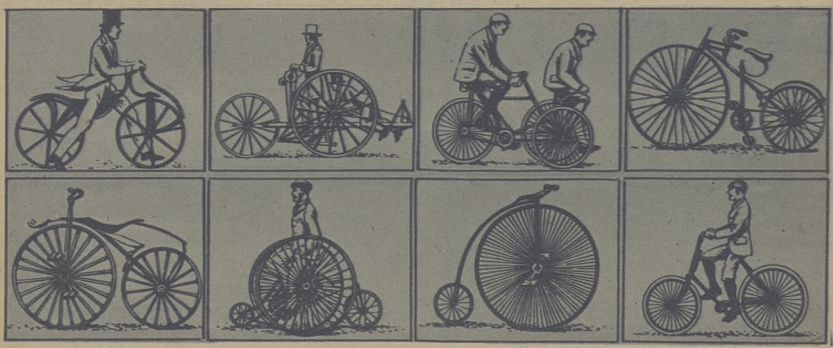

# W. BRYTANIA — „EUROPA"

## Mecz, który niczego nie udowodni

26-go października 1938 r. odbył się na wspaniałym boisku londyńskiego Arsenału pierwszy mecz piłkarski Anglia — Europa (a właściwie — reszta Kontynentu). Gospodarze zwyciężyli 3:0 bez większego trudu. Bramki strzelili: Hall, Lawton i Goulden. Team „11 gwiazd", jak nazywano reprezentację Kontynentu, górował nad wyspiarzami tempem i taktyką, natomiast Anglicy przeważali lepszym opanowaniem piłki no i... zgraniem zespołu.

Pierwsza reprezentacja Europy wystąpiła w następującym składzie: bramkarz — Olivieri (Włochy), obrona — Foni i Rava (obaj Włochy), pomoc — Kupfer (Niemcy), Andreolo (Włochy) i Kitzinger (Niemcy), atak — Aston (Francja), Braine (Belgia), Piola (Włochy), Zsengeller (Węgry) i Brustad (Norwegia).

FOTO FILM POLSKI

Po dziewięciu latach przerwy, 10-go maja r. b., tym razem stutysięczny tłum na stadionie w Glasgow będzie świadkiem zmagań piłkarzy brytyjskich z resztą Kontynentu. Mecz ten stracił zresztą bardzo dużo z chwilą, gdy stało się wiadome, że ani wspaniali piłkarze Związku Radzieckiego (bramkarz Chomicz, obrońca Semiczasny, czy też napastnicy Fedotow lub Bobrow) nie wezmą w nim udziału, podobnie jak i gracze mocarstwa piłkarskiego Europy południowej, Jugosławii (znany nam pomocnik Czyjkowski, czy napastnik Miticz). W rezultacie team „11 gwiazd" został oparty na piłkarzach Północy, którzy uzyskali w ub. sezonie tak dobre wyniki na terenie wyspy angielskiej (szwedzka Kamraterna Norrkoeping, reprezentacja Kopenhagi). Bramki Kontynentu będzie bronił Francuz Da Rui (rez. Duńczyk Jensen), w obronie mocnym punktem jest Szwajcar Steffen, występujący zresztą w londyńskiej drużynie I ligi, Chelsea. Pomoc składa się z Irlandczyka Careya, Włocha Paroli i Czecha Ludla. Lewa strona ataku to Duńczycy Prest i Hansen, kierownikiem napadu wyznaczono Szweda G. Nordahla (widzieliśmy go w Polsce w ub. r. w barwach Norrkoepingu), po którego prawej stronie zagra na łączniku jego rodak Green, a na skrzydle Holender Willkes lub Belg Lembrecht.

Faworytem meczu jest oczywiście W. Brytania, której skład oparty jest naturalnie na Anglikach, z doskonałym bramkarzem Swiftem (Manchester City) i „nieśmiertelnym" Lawtonem (Chelsea) na środku ataku na czele. W pomocy zagra Szkot Campbell znany Polakom z meczu Śląska z drużyną Greenock Morton (w czasie pamiętnego zeszłorocznego turnee Polaków po Szkocji).

G. Nordahl

A. Chomicz.

Parola

**Uwaga: Rubryka „Odpowiedzi Redakcji" ukażą się w następnym numerze.**

REDAGUJE ZESPÓŁ WYDAWCA: SPÓŁDZ. WYD. »PŁOMIENIE« * REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, ul. GRAŻYNY 8. TEL. 8-51-32 PRENUMERATA KWARTALNA ZŁ. 225.— Z PRZESYŁKĄ DO DOMU WPŁACAĆ NA KONTO P. K. O. WARSZAWA, Nr I - 4252

Rotograwiura — Drukarnia Nr 2. Sp. Wyd. [illegible] B-31052

FOTO FILM POLSKI